

JOHN GRISHAM

WYSPA CAMINO



ZUCHWAŁA KRADZIEŻ BEZCENNYCH RĘKOPISÓW
I POCZĄTKUJĄCA PISARKA, KTÓRA MUSI WNIKNĄĆ
W ŚWIAT ZŁODZIEI W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH.

ALBATROS

Rozdział 1

SKOK

1

Oszust przywłaszczył sobie tożsamość Neville’a Manchina, autentycznego wykładowcy literatury amerykańskiej z Uniwersytetu Portland i przyszęłego doktoranta na Uniwersytecie Stanforda. W liście, napisanym na doskonale podrobionym papierze firmowym, „Magister Manchin” podał się za początkującego badacza twórczości F. Scotta Fitzgeralda, wybierającego się wkrótce w podróż na Wschodnie Wybrzeże i bardzo chciałby zobaczyć „rękopisy oraz dokumenty” tego wielkiego pisarza. List zaadresowany do doktora Jeffreya Browna, dyrektora sekcji rękopisów Działu Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych w Bibliotece Firestone’a na Uniwersytecie Princeton, przyszedł wraz z kilkoma innymi. Został skrzętnie zarejestrowany, przekazany dalej i w końcu trafił na biurko Eda Folka, młodszego bibliotekarza, którego obowiązkiem – wśród wielu innych monotonnych zadań – było sprawdzanie kompetencji piszących do nich osób.

Ed otrzymywał kilka takich listów tygodniowo. Pod wieloma względami wszystkie były identyczne, choć pisali je zarówno wielbiciele i samozwańczy specjaliści od twórczości Fitzgeralda, jak i – od czasu do czasu – prawdziwi naukowcy. W poprzednim roku kalendarzowym Ed sprawdził i wpuścił do biblioteki sto dziewięćdziesiąt osób. Ludzie ci przyjeżdżali z całego świata i pełni pokory wchodzili do biblioteki z szeroko otwartymi oczami, jak pielgrzymi do świątyni. Pracował na tym stanowisku od trzydziestu czterech lat i przez ten czas widział chyba wszystkie kategorie badaczy i ciekawskich. I wcale ich nie ubywało. F. Scott Fitzgerald nie przestawał fascynować. Ruch w bibliotece był taki sam jak przed trzydziestu laty. Ostatnio jednak Ed zastanawiał się coraz częściej, czy w życiu pisarza zostało coś, nad czym by jeszcze nie ślęczano, czego by dokładnie nie przestudiowano i o czym by nie napisano. Pewien uczony powiedział mu niedawno, że do tej pory wydano co najmniej sto książek i opublikowano ponad dziesięć tysięcy artykułów naukowych o Fitzgeraldzie jako człowieku i pisarzu, o jego twórczości i szalonej żonie.

Facet zapił się na śmierć w wieku czterdziestu czterech lat! A co by było, gdyby wciąż pisząc, dożył późnej starości? Ed potrzebowałby asystenta, jednego albo dwóch, a może nawet całego zespołu. Z drugiej strony wiedział jednak, że przedwczesna śmierć jest często kluczem do późniejszego uznania (nie wspominając już o wyższych tantiemach).

Po kilku dniach zajął się w końcu listem od magistra Manchina. Przejrzawszy szybko biblioteczny rejestr, zorientował

się, że jest to nowa postać i nowa prośba. Kilku weteranów było w Princeton tyle razy, że po prostu dzwoniли do niego i mówili: „Cześć, będę w przyszły wtorek”, przeciwko czemu Ed nie protestował. Co innego z Manchinem. Wszedł na stronę internetową Uniwersytetu Portland i tam go znalazł. Licencjat z literatury amerykańskiej na Uniwersytecie Stanu Oregon, magisterium na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, od trzech lat wykładowca kontraktowy. Początki brody, prawdopodobnie tymczasowej, wąskie okulary bez oprawek – na zdjęciu wyglądał jak zwyczajny młody, mniej więcej trzydziestopięcioletni, mężczyzna.

W swoim liście prosił o odpowiedź na prywatny adres mailowy, bo – jak twierdził – na służbowy rzadko zagląda. Pewnie dlatego, że jesteś tylko mało ważnym wykładowcą na kontrakcie i nie masz własnego gabinetu, pomyślał Ed. Takie myśli nachodziły go często, choć oczywiście był zbyt doświadczonym profesjonalistą, żeby się nimi dzielić. Następnego dnia z czystej ostrożności wysłał odpowiedź na służbowy adres Manchina, dziękując za list i zapraszając go do Princeton. Spytał także o przybliżoną datę jego wizyty i wyłożył kilka podstawowych zasad obowiązujących gości pragnących obejrzeć zbiór rękopisów i dokumentów F. Scotta Fitzgeralda. Było ich tyle, że zasugerował, aby pan magister zapoznał się z nimi na stronie internetowej biblioteki.

Otrzymał automatyczną odpowiedź z informacją, że przez kilka dni Manchin będzie nieosiągalny. Jeden ze współników fałszywego wykładowcy spenetrował uniwersytecką sieć komputerową na tyle głęboko, że udało mu się pomajstro-

wać w serwerze wydziału anglistyki; dla wytrawnego hakera to nic trudnego. On i podszywający się pod Manchina oszust natychmiast dowiedzieli się, że biblioteka odpowiedziała.

Trudno, pomyślał Ed i nazajutrz wysłał ten sam list na prywatny adres mailowy pana magistra. Manchin odpowiedział już niecałą godzinę później, dziękując mu entuzjastycznie, zapewniając, że nie może się już doczekać, że dokładnie przestudiował biblioteczną stronę internetową, spędził wiele godzin w cyfrowym archiwum twórczości Fitzgeralda, oraz informując, że od lat jest posiadaczem wielotomowej serii wiernych reprodukcji rękopisów tego autora i że szczególnie interesują go recenzje jego pierwszej powieści, *Po tej stronie raju*.

Świetnie, pomyślał Ed. Skąd ja to znam? Facet próbował mu zaimponować, zanim się jeszcze zobaczyli, w czym nie było nic niezwykłego.

2

F. Scott Fitzgerald wstąpił na Uniwersytet Princeton jesienią 1913 roku. Miał wtedy szesnaście lat, marzył o napisaniu wielkiej amerykańskiej powieści, a nawet zaczął już pisać pierwszą wersję *Po tej stronie raju*. Cztery lata później rzucił studia, aby zaciągnąć się do wojska i pójść na wojnę, lecz nie zdążył, ponieważ wojna się skończyła. Jego arcydzieło, *Wielki Gatsby*, ukazało się w 1925 roku, lecz zyskało popularność dopiero po śmierci autora. Niemal przez całe

życie zawodowe Fitzgerald zmagał się z kłopotami finansowymi, a w 1937 roku wyjechał do Hollywood, gdzie pisał kiepskie scenariusze, podupadając na zdrowiu i zaniedbując pracę twórczą. Dwudziestego pierwszego grudnia 1940 roku zmarł na atak serca spowodowany wieloletnim nadużywaniem alkoholu.

W 1950 roku Scottie, córka i jedyne dziecko Fitzgeralda, podarowała jego rękopisy, notatki oraz listy – tak zwane „papiery” – Bibliotece Firestone’a należącej do Uniwersytetu Princeton. Ponieważ pięć pierwszych powieści napisał ręcznie na szybko niszczącym tanim papierze, biblioteka stwierdziła, że udostępnianie ich badaczom byłoby niezbyt mądre. Dlatego sporządzono wysokiej jakości faksymile, a oryginały zamknięto w podziemnym skarbcu o starannie kontrolowanym oświetleniu, temperaturze i wilgotności. Po 1950 roku wyjmowano je stamtąd tylko kilka razy.

3

Mężczyzna podający się za magistra Neville’a Manchina przyjechał do Princeton pięknego jesiennego dnia na początku października. Skierowano go do Działu Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych, gdzie poznał Eda Folka i gdzie ten przekazał go swojemu pomocnikowi, żeby sprawdził i skopiował jego oregońskie prawo jazdy. Prawo jazdy było oczywiście fałszywką, lecz fałszywką doskonałą. Falszercz i jednocześnie haker, ten sam, który majstrował przy serwe-

rze wydziału anglistyki, miał za sobą przeszkolenie w CIA i długą karierę w mrocznym świecie prywatnego szpiegostwa. Złamanie zabezpieczeń uniwersyteckiej sieci internetowej nie stanowiło dla niego większego problemu.

Magister Manchin został następnie sfotografowany, po czym wydano mu identyfikator, który miał stale nosić na widoku. Pomocnik bibliotekarza zaprowadził go na pierwsze piętro gmachu, do dużej sali, gdzie stały dwa długie stoły, a pod ścianami rzędy stalowych szafek z zamkniętymi szufladami. Manchin wypatrzył co najmniej cztery kamery w kątach pod sufitem – cztery, które miały być widoczne. Podejrzewał, że są tam i inne, dobrze ukryte. Próbował wdać się w pogawędkę z towarzyszącym mu opiekunem, lecz ten nie należał do zbyt rozmownych. Kiedy Manchin zapytał żartem, czy mógłby obejrzeć oryginalny rękopis *Po tej stronie raju*, pomocnik bibliotekarza uśmiechnął się z wyższością i odparł, że to niemożliwe.

– A pan? – spytał Manchin. – Widział pan oryginały?

– Tylko raz.

Czekał chwilę na ciąg dalszy, lecz go nie było.

– Przy jakiej okazji?

– Pewien słynny naukowiec chciał je zobaczyć – wyjaśnił tamten. – Zeszliśmy z nim do skarbcza, ale ich nie dotykał. Może to robić tylko główny bibliotekarz i tylko w specjalnych rękawiczkach.

– Naturalnie. Cóż, zatem bierzmy się do roboty.

Pomocnik otworzył dwie wielkie szuflady opatrzone napisem *Po tej stronie raju*, w których leżały duże, grube notesy.

– W tych są pierwsze recenzje – powiedział. – Mamy też wiele późniejszych.

– Świetnie.

Manchin uśmiechnął się i gotów rzucić się na wszystko, co położy mu na stole, otworzył teczkę i wyjął notatnik. Był tak pochłonięty pracą, że pół godziny później pracownik biblioteki zostawił go samego i zniknął. Ze względu na obecność kamer oszust ani razu nie podniósł wzroku. W końcu musiał wyjść do toalety i zabłądził. Źle skręcił raz, źle skręcił po raz drugi i unikając kontaktu z osobami przebywającymi w tym samym dziale, ostrożnie zwiedził okolicę. Wszędzie były kamery. Wątpił, czy ktoś obserwuje go na żywo, jednak w razie potrzeby ochrona zawsze mogła sięgnąć po taśmy. Znalazł windę, minął ją i pobliskimi schodami zszedł do sutereny, gdzie było jak na parterze. Schody prowadziły jeszcze niżej i kończyły się na poziomie S2 (Suterena 2) wielkimi, grubymi drzwiami z napisem *Otwierać tylko w nagłych wypadkach*, namalowanym dużymi, grubymi literami. Obok był panel z klawiaturą i kolejny napis, który ostrzegał, że w razie próby nieautoryzowanego otwarcia drzwi włączy się alarm. Manchina obserwowały dwie kamery.

Wycofał się i wrócił na górę. Kiedy wszedł do sali ze stołami, czekał już na niego pomocnik bibliotekarza.

– Wszystko w porządku, panie magistrze?

– Tak, tak – odparł oszust. – Tylko chyba coś mi zaszkodziło. Mam nadzieję, że to nie jakiś wirus.

Bibliotekarz natychmiast wyszedł, a Manchin spędził cały dzień na przekopywaniu się przez materiały ze stalo-

wych szuflad i czytaniu starych recenzji, które zupełnie go nie interesowały. Kilka razy wychodził z sali, żeby pomyszkować, rozejrzeć się, pomierzyć i zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

4

Wrócił do Princeton trzy tygodnie później i nie udawał już wykładowcy. Ogolony i przefarbowany na piaskowy blond, był w sztucznych okularach w czerwonych oprawkach i miał fałszywą legitymację studencką ze zdjęciem. Gdyby ktoś go spytał – czego raczej nie przewidywał – odpowiedziałby, że robi studia magisterskie w Iowa. Tak naprawdę miał na imię Mark i – jeśli można tak powiedzieć – był zawodowym złodziejem, ekspertem od skoków szybkich i misternie zaplanowanych, specjalistą od kradzieży kosztownych dzieł sztuki i rzadkich artefaktów, które odsprzedawał pogrążonym w rozpacz właścicielom. Należał do pięcioosobowego gangu Denny’ego, byłego komandosa, który po tym, jak wyrzuciono go z wojska, zszedł na drogę przestępstwa. Ani on, ani Denny nie byli jak dotąd notowani, w przeciwieństwie do dwóch pozostałych członków gangu. Trey miał na koncie dwa wyroki i dwie ucieczki, ostatnią przed rokiem, z więzienia federalnego w Ohio. To właśnie tam poznał Jerry’ego, drobnego złodziejaska dzieł sztuki, przebywającego obecnie na zwolnieniu warunkowym. O rękopisach Fitzgeralda wspomniał Jerry’emu inny złodziej, odsiadujący długi wy-

rok kumpel spod celi.

Układ był doskonały. Tylko pięć rękopisów, wszystkie w jednym miejscu. I wszystkie bezcenne dla Princeton.

Piąty członek gangu wołał pracować w domu. Ahmed był hakerem, fałszerzem i twórcą wszelkich iluzji, lecz nie miał odwagi nosić broni. Pracował w suterenie domu w Buffalo i jak dotąd nigdy go nie przyłapano ani nie aresztowano. Nie zostawiał żadnych śladów. Brał pięć procent z góry. Pozostała czwórka miała podzielić się równo resztą.

We wtorek o dziewiątej wieczorem Denny, Mark i Jerry, którzy podali się za studentów, byli już w Bibliotece Firestone'a i czujnie obserwowali zegar. Fałszywe legitymacje zadziałały idealnie, nikt nie uniósł nawet brwi. Denny ukrył się w damskiej toalecie na drugim piętrze. Odsunął panel w suficie, wrzucił tam plecak i nastawił się na kilkugodzinne czekanie w ciasnocie i duchocie. Mark otworzył wytrychem zamek w drzwiach do pomieszczenia obsługi mechaniczno-elektrycznej na pierwszym poziomie sutereny i znieruchomiał, nadsluchując syren alarmowych. Nie usłyszał żadnych, podobnie jak Ahmed, który bez trudu zhakował uniwersytecki system bezpieczeństwa. Mark wszedł do środka i zaczął rozmontowywać wtryskiwacze paliwa w zapasowym generatorze elektrycznym biblioteki. Jerry zaszył się w odległym miejscu do pracy, kąciku ukrytym między rzędami półek z nietkniętymi od dziesięcioleci książkami.

Trey, przebrany za studenta z plecakiem, snuł się po kampusie, szukając miejsca dla bomb.

Bibliotekę zamykano o północy. Czterej członkowie gan-

gu i czuwający w Buffalo Ahmed byli w kontakcie radiowym. Kwadrans po północy Denny, ich przywódca, oznajmił, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Pięć minut później Trey, nadal przebrany za studenta, wszedł do akademika college'u McCarrena w samym środku kampusu. Zobaczył tam te same kamery monitoringu, które widział tydzień wcześniej. Nieobserwowanymi przez nie schodami wbiegł na pierwsze piętro, wszedł do toalety i zamknął się w kabinie. O dwunastej czterdzieści wyjął z plecaka puszkę wielkości półlitrowej coli. Nastawił zapalnik i ukrył ją za muszlą. Wyszedł z toalety, wbiegł na drugie piętro i w pustej kabinie prysznicowej ukrył drugą bombę. Punktualnie za kwadrans pierwsza w mrocznym korytarzu na drugiej kondygnacji gmachu nonszalanckim ruchem rzucił przed siebie sznur petard Black Cat i popędził na parter. Zadudniło echo dziesięciu eksplozji, a kilka sekund później wybuchły obie bomby, zasnuwając korytarze chmurami gęstego, śmierdzącego dymu. Gdy Trey wychodził z akademika, dotarła do niego pierwsza fala spanikowanych głosów. Ukrywając się za pobliskimi krzakami, wyjął z kieszeni telefon na kartę i zadzwonił do uniwersyteckiej centrali zgłoszeń alarmowych z przerażającą wiadomością:

– Na pierwszym piętrze akademika college'u McCarrena jest jakiś facet z pistoletem! Strzela do ludzi!

Z okien sączył się dym. Jerry, który wciąż siedział ukryty między rzędami półek z nietkniętymi od dziesięcioleci książkami, wykonał podobny telefon, też z komórki na kartę. Wkrótce cały kampus ogarnęła panika i w centrali urywały

się telefony.

Każdy amerykański college ma dokładne plany postępowania w sytuacji, gdy na jego terenie zaczyna działać „aktywny strzelec”, jednak żaden nie chce wcielać ich w życie. Dlatego dyżurująca w centrali funkcjonariuszka nacisnęła guzik dopiero po kilku sekundach, a kiedy już to zrobiła, zawyły syreny. Studenci, wykładowcy, urzędnicy i inni pracownicy uniwersytetu otrzymali alarmowego SMS-a i maila. Polecono im zamknąć na klucz wszystkie drzwi. I zabezpieczyć wszystkie budynki.

Jerry zadzwonił pod 911 i zameldował, że zastrzelono dwóch studentów. Z akademika buchały już kłęby dymu. Trey wrzucił do koszy na śmieci kolejne trzy bomby. Od budynku do budynku biegali studenci, nie wiedząc, gdzie można bezpiecznie się schronić. Przyjechała ochrona uniwersytecka i miejscowa policja, a zaraz potem sześć wozów straży pożarnej. Jeszcze potem zjawiły się karetki pogotowia. I pierwsze radiowozy policji stanowej New Jersey.

Trey zostawił plecak pod drzwiami budynku administracyjnego, po czym zadzwonił pod 911 i zameldował, że leży tam coś podejrzanego. Ostatnia bomba dymna miała wybuchnąć za dziesięć minut, dokładnie wtedy, kiedy na miejsce zdarzenia przyjadą saperzy i z bezpiecznej odległości zaczną przyglądać się plecakowi.

Pięć po pierwszej Trey połączył się przez radio ze swoimi współpracownikami.

– Panika doskonała – zakomunikował. – Wszędzie dym. Dziesiątki gliniarzy. Zaczynajcie.

– Zgasić światło – rozkazał Denny.

Czuwający przy komputerze Ahmed odstawił szklanekę mocnej herbaty, w schemacie uniwersyteckiej sieci bezpieczeństwa znalazł podsieć elektryczną i odciął prąd nie tylko w Bibliotece Firestone’a, ale i w kilku okolicznych budynkach. W tym samym momencie Mark, który zdążył już włożyć gogle z noktowizorem, wyłączył na dokładkę główny wyłącznik prądu w pomieszczeniu obsługi mechaniczno-elektrycznej. Wstrzymał oddech i gdy zapasowy generator elektryczny nie odpalił, z ulgą wypuścił powietrze.

Awaria prądu uruchomiła alarm w centrali bezpieczeństwa na kampusie, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Na terenie college’u grasował zabójca, nie było czasu na błahostki.

Jerry, który w ciągu ostatniego tygodnia spędził dwie noce w Bibliotece Firestone’a, wiedział, że po zamknięciu nie ma tam żadnych strażników. Umundurowany ochroniarz parę razy obchodził gmach z zewnątrz, świecił latarką na drzwi i szedł dalej. Pojawiał się tam również patrol w oznakowanym radiowozie, lecz policjantów interesowali głównie pijani studenci. Między pierwszą w nocy i ósmą rano kampus był na ogół jak każdy inny, czyli zupełnie wymarły.

Jednak tej nocy w Princeton panowało gorączkowe poruszenie, ponieważ ktoś strzelał do kwiatu Ameryki. Trey zameldował kumplom, że wszędzie panuje kompletny chaos, że policjanci ze SWAT-u wkraczają do akcji, wyją syreny, popiskują radionadajniki i miga milion kogutów. Dym wisi na drzewach jak mgła. Słyszać warkot krążącego w pobliżu helikoptera. Totalny chaos.

Denny, Jerry i Mark przemknęli ukradkiem przez mrok i zbiegli schodami do sutereny pod Działem Książ Rzadkich i Zbiorów Specjalnych. Wszyscy trzej mieli gogle z noktowizorem i lampy górnicze na czole. Wszyscy dźwigali ciężkie plecaki, a Jerry taszczył jeszcze mały worek marynarski, który ukrył w bibliotece dwa dni wcześniej. Dotarli do trzeciego – ostatniego – poziomu sutereny, stanęli przed grubymi metalowymi drzwiami, oślepiли kamery i zaczęli, aż Ahmed odprawi swoje czary. Ten spokojnie przedarł się przez biblioteczny system alarmowy i wyłączył cztery czujniki przy drzwiach. Rozległo się głośne kliknięcie. Denny nacisnął klamkę, otworzył drzwi i zobaczyli wąskie, kiskowate pomieszczenie z dwójgiem kolejnych drzwi, też metalowych. Mark poświecił latarką na sufit i wypatrzył kamerę.

– Tam – rzucił. – Tylko jedna.

Najwyższy z nich, Jerry, który miał metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, wyjął małą puszkę farby w spreju i psiknął w obiektyw.

Denny spojrzał na drzwi.

– Rzucamy monetą?

– Co widzicie? – spytał z Buffalo Ahmed.

– Dwoje identycznych metalowych drzwi – odparł Denny.

– Nic tu nie mam. W systemie są tylko te pierwsze. Musicie ciąć.

Jerry wyjął z worka dwie czterdziestopięciocentymetrowe butle, jedną z tlenem, drugą z acetylenem. Denny stanął przed drzwiami po lewej, pstryknął zapalarką i zaczął

rozgrzewać palnikiem miejsce piętnaście centymetrów nad dziurką od klucza i zasuwką. Posypały się iskry.

Tymczasem Trey zostawił za sobą panujący wokół akademika chaos i ukrył się w ciemności naprzeciwko biblioteki. Wciąż wyły syreny, przyjeżdżało coraz więcej karettek i radiowozów. Nad kampusem głośno dudniły helikoptery, choć Trey ich nie widział. Pogasły nawet latarnie uliczne. Wokół biblioteki nie było żywego ducha. Wszyscy pobiegli do akademika.

– Przed biblioteką cisza i spokój – zameldował. – Jakież postępy?

– Już tniemy – rzucił Mark.

Cała piątka wiedziała, że muszą ograniczyć rozmowy do niezbędnego minimum. Denny wprawnie i powoli ciął metal palnikiem, którego płomień miał na czubku ponad trzy tysiące stopni Celsjusza. Na podłogę kapąca płynna stal, przyskały żółte iskry.

– Mają dwa i pół centymetra grubości – powiedział Denny.

Skończył górny brzeg kwadratu i zaczął ciąć w dół. Praca była powolna, minuty ciągnęły się w nieskończoność i wzrastało napięcie, mimo to wszyscy zachowywali spokój. Jerry i Mark przykucnęli za nim i obserwowali każdy jego ruch. Denny skończył dolną krawędź kwadratu i szarpnął za klamkę, lecz drzwi nie puściły; coś je trzymało.

– Zasuwa – rzucił. – Trzeba ją przeciąć.

Pięć minut później drzwi stały otworem. Ahmed, nadzorujący z Buffalo biblioteczny system bezpieczeństwa, nie

dopatrzył się niczego podejrzanego.

– Czysto – zameldował.

Denny, Mark i Jerry weszli do pomieszczenia i natychmiast zabrakło w nim miejsca, ponieważ niemal całkowicie wypełniał je wąski stół najwyższej sześćdziesięciocentymetrowej szerokości i trzymetrowej długości. Po jednej stronie były cztery duże drewniane szuflady, po drugiej cztery identyczne. Mark, specjalista od wytrychów, przesunął na czoło gogle, poprawił lampę na czole, obejrzał jeden z zamków i pokręcił głową.

– Tak jak myślałem, komputerowy zamek kombinacyjny. Pewnie codziennie zmieniają kod. Nie da rady, trzeba wiercić.

– Dobra, zaczynaj – rozkazał Denny. – Wy wierćcie, a ja przetnę drugie drzwi.

Jerry wyjął z worka wiertarkę akumulatorową zaopatrzoną w koronkę do wiercenia w stali. Przytknął ją do zamka i wraz z Markiem ze wszystkich sił naparli na sterzące z boków trzymaki. Koronka wyła, jęczała i ześlizgiwała się z mosiądzu, który początkowo wydawał się nie do przewiercenia. Lecz już po chwili na podłogę spadła jedna strużyna, potem druga, i wiertło zaczęło wgryzać się coraz głębiej. W końcu zamek puścił, mimo to szuflada się nie otworzyła. Mark wcisnął w szparę końcówkę cienkiego łomu i gwałtownie szarpnął w dół. Pękło drewno i szuflada odskoczyła. W środku leżało pudełko do przechowywania zbiorów archiwalnych. Zabezpieczone czarnymi metalowymi okuciami, miało pięćdziesiąt pięć centymetrów długości, czterdzieści

dwa centymetry szerokości i siedem i pół centymetra grubości.

– Ostrożnie – szepnął Jerry, kiedy Mark otworzył je i wyjął cienką książkę w twardej oprawie.

– *Wiersze zebrane* Dolpha McKenziego – przeczytał powoli Mark. – Zawsze chciałem to mieć.

– Kto to, kurwa, jest?

– Nie mam pojęcia, ale nie szukamy wierszy.

Do pomieszczenia wszedł Denny.

– Dobra, otwierajcie następne – rzucił. – Zostało jeszcze siedem. Będę obok, prawie się przebiłem.

Podczas gdy oni pracowali, Trey siedział na ławce naprzeciwko biblioteki, od niechcienia paląc papierosa i nieustannie spoglądając na zegarek. Chaos na kampusie nie ustawał, lecz kiedyś musiał się skończyć.

Druga i trzecia szuflada też zawierały książki, których członkowie gangu nie znali. Denny sforsował w końcu drzwi do kolejnego pomieszczenia i kazał kumplom przynieść wiertarkę. Tu też było osiem dużych szuflad, identycznych jak w tamtym. Kwadrans po drugiej Trey zameldował, że kampus jest wciąż zamknięty, ale na trawniku przed akademikami zaczynają się zbierać ciekawscy studenci. Wyposażeni w megafony policjanci kazali im wrócić do pokoi, lecz gapiów przybywało i władze nie mogły nad nimi zapanować. Na domiar złego nad kampusem krążyły co najmniej dwa helikoptery telewizyjne. Trey oglądał CNN na smartfonie i „strzelanina w Princeton” była sensacją dnia. Przebywający „na miejscu wydarzeń” rozgorączkowany reporter ciągle

wspominał o „niepotwierdzonych ofiarach”, sugerując, że „co najmniej jeden strzelec” zabił wielu studentów.

– Co najmniej jeden? – wymamrotał Trey. A słyszałeś o strzelaninie bez żadnego?

Denny, Mark i Jerry zastanawiali się, czy nie otworzyć szuflad palnikiem, ale uznali, że lepiej nie, przynajmniej na razie. Zaistniałoby duże ryzyko pożaru, a co by im przyszło ze spalonych rękopisów? Dlatego Denny wyjął z worka mniejszą koronkę i zaczął wiercić. Mark i Jerry wciąż korzystali z większej. W pierwszej szufladzie w drugim pomieszczeniu leżały pliki delikatnych kartek, ręcznie zapisanych przez kolejnego dawno zapomnianego poetę, o którym nigdy nie słyszeli, lecz którego szczerze nienawidzili.

O wpół do trzeciej rano CNN poinformowało, że dwóch studentów nie żyje i co najmniej dwóch jest rannych. Po raz pierwszy padło słowo „masakra”.

5

Zabezpieczywszy pierwsze piętro akademika, policja odkryła resztki czegoś, co wyglądało na petardy. W toalecie i kabinie prysznicowej znaleziono wypalone bomby dymne. Saperzy otworzyli porzucony plecak i wyjęli z niego kolejną, też wypaloną. Dziesięć po trzeciej dowódca oddziału po raz pierwszy wspominał o „głupim żarcie”, jednak adrenalina wciąż buzowała do tego stopnia, że nikomu nie przyszło do głowy słowo „dywersja”.

Szybko zabezpieczono pozostałą część akademika i policzono studentów. Nikogo nie brakowało, mimo to kampus miał pozostać zamknięty jeszcze przez wiele godzin, do czasu aż policja przeszuka sąsiednie budynki.

6

O wpół do czwartej Trey zameldował:

– Uspokaja się. To już trzecia godzina akcji, panowie. Jak idzie wiercenie?

– Powoli – odparł krótko Denny.

I rzeczywiście, pracowali powoli, lecz z determinacją. W pierwszych czterech otwartych szufladach leżały stare manuskrypty, rękopisy i maszynopisy, wszystkie autorstwa ważnych pisarzy, którzy w tej chwili zupełnie się nie liczyli. Kiedy Denny wyjął z piątej pudełko identyczne jak te w pozostałych szufladach, nareszcie trafili na żyłę złota. Przywódca grupy otworzył je ostrożnie. Na załączonej przez bibliotekę karcie informacyjnej widniał napis: *Oryginalny rękopis Pięknych i przeklętych F. Scotta Fitzgeralda*.

– Bingo! – skwitował spokojnie Denny. Z piątej szuflady wyjął jeszcze dwa identyczne pudełka, położył je delikatnie na wąskim stole i otworzył. W środku były oryginalne rękopisy powieści *Czuła jest noc* i *Ostatni z wielkich*.

Ahmed, który wciąż przyklejony do laptopa pił teraz napój energetyczny z wysoką zawartością kofeiny, usłyszał te piękne słowa i powiedział:

– Dobra, chłopcy, mamy trzy z pięciu. Został *Gatsby* i *Raj*.

– Długo jeszcze? – spytał Trey.

– Dwadzieścia minut – odparł Denny. – Podstaw wóz.

Trey przeszedł swobodnym krokiem przez kampus, wbiegał się w tłum gapiów i obserwował przez chwilę armię kręcących się w pobliżu policjantów. Już się nie pochylali, nie kryli się, nie biegali ani nie przemykali za radiowozami z nabitą bronią w rękę. Niebezpieczeństwo najwyraźniej minęło, choć okolica wciąż tonęła w blasku migających kogutów. Trey wycofał się, przeszedł kilkaset metrów, opuścił kampus i skręcił w John Street, gdzie wsiadł do białej furgonetki dostawczej z napisem *Drukarnia Uniwersytetu Princeton* na przednich drzwiach, lewych i prawych. Oznaczona numerem 12 – cokolwiek to znaczyło – była bardzo podobna do tej, którą sfotografował tydzień wcześniej. Wrócił nią na kampus i ominąwszy zamieszanie wokół akademika, zaparkował przy rampie załadunkowej na tyłach biblioteki.

– Wóz na miejscu – zameldował.

– Otwieramy szóstą szufladę – oznajmił Denny.

Kiedy Jerry i Mark podnieśli noktowizory na czoła i podeszli ze światłem do stołu, Denny delikatnie otworzył pudełko. Na karcie informacyjnej widniał napis: *Oryginalny rękopis powieści Wielki Gatsby F. Scotta Fitzgeralda*.

– Bingo! – powtórzył spokojnie szef gangu. – Mamy tego sukinsyna Gatsby’ego.

– Hurra! – wykrzyknął Mark mimo skrzętnie tłumionego podniecenia.

Jerry wyjął z szuflady ostatnie pudełko. Leżał w nim rękopis *Po tej stronie raju*, pierwszej powieści Fitzgeralda wydanej w 1920 roku.

– Mamy wszystkie pięć – podsumował beznamiętnie Denny. – Wynośmy się stąd.

Jerry spakował wiertarki, łomy, palnik i butle z acetylenem i tlenem. Kiedy schylał się po worek, stercząca z trzeciej szuflady drzazga drasnęła go tuż nad lewym nadgarstkiem. W podnieceniu prawie tego nie zauważył i tylko potarł skaleczenie, zdejmując plecak. Denny i Mark ostrożnie włożyli pięć bezcennych rękopisów do trzech studenckich plecaków. Potem, obładowani łupami i sprzętem, wyszli ze skarbcza, wbiegli schodami na parter i opuścili bibliotekę wejściem serwisowym w pobliżu rampy załadunkowej, ukrytym za długim, gęstym żywopłotem. Wskoczyli do furgonetki tylnymi drzwiami i Trey ruszył. Chwilę później minęli dwóch ochroniarzy w radiowozie. Trey pomachał im od niechcenia ręką, lecz nie zareagowali.

Była trzecia czterdzieści dwie.

– Czysto – zameldował. – Wyjeżdżamy z kampusu z panem Gatsbym i spółką.

7

Awaria prądu uruchomiła szereg alarmów w budynkach, których dotknęła. O czwartej nad ranem specjalista elektryk przebił się przez uniwersytecką sieć energetyczną i znalazł

problem. Przywrócono elektryczność wszędzie oprócz biblioteki. Szef ochrony wysłał tam trzech podwładnych. Wykrycie przyczyny alarmu zajęło im dziesięć minut.

Tymczasem złodzieje byli już w tanim motelu niedaleko autostrady międzystanowej 295 pod Filadelfią. Trey stanął obok osiemnastokołowej ciężarówki, z dala od samotnej kamery monitorującej parking. Mark wyjął puszkę białej farby w spreju i zamalował napisy na furgonetcie. W pokoju, w którym on i Trey spędzili ostatnią noc, wszyscy przebrali się szybko w ubrania myśliwskie i do innego worka marynarskiego spakowali to, co mieli na sobie podczas skoku: dżinsy, adidas, podkoszulki i czarne rękawiczki. Jerry zauważył w łazience małe skaleczenie nad lewym nadgarstkiem. W furgonetcie uciskał je palcem, bo krwawiło bardziej, niż myślał. Wytarł je myjką, zastanawiając się, czy wspomnieć o tym kumplom. Nie teraz, może później.

Spakowali się po cichu, zgasili światło i wyszli. Mark i Jerry wsiedli do eleganckiego pick-upa wypożyczonego i prowadzonego przez Denny'ego – dwoje drzwi i kabina z dwoma siedziskami na sześć osób – wyjechali za Treyem na ulicę, wrócili na autostradę, ominęli północne przedmieścia Filadelfii i jadąc stanowymi szosami, zniknęli w Pensylwanii. Pod Quakertown skręcili w wybraną uprzednio wiejską drogę, która niecałe dwa kilometry dalej przechodziła w żwirówkę. W pobliżu nie było ani jednego domu. Trey wjechał do płytkiego parowu, zdjął skradzione tablice rejestracyjne i polał benzyną worki z narzędziami, telefonami komórkowymi, sprzętem radiowym i ubraniami, po czym

podpalił je. Furgonetkę momentalnie pochłonęła kula ognia, więc odjechali przekonani, że zniszczyli wszystkie możliwe dowody rzeczowe. Rękopisy leżały bezpiecznie na tylnym siedzisku pick-upa, między Treyem i Markiem.

Nad wzgórzami powoli wstawał świt, a oni jechali w milczeniu, obserwując to, co ich otaczało, choć było tego niewiele. Ot, nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd, idący do stodoły farmer, który nie patrzył nawet na szosę, czy staruszka z kotem na ganku. Pod Bethlehem wjechali na międzystanówkę 78 i skręcili na zachód. Denny prowadził, trzymając się dużo poniżej dopuszczalnej prędkości. Od wyjazdu z kampusu nie widzieli ani jednego radiowozu. Zatrzymali się w restauracji z okienkiem dla zmotoryzowanych, kupili stripsy z kurczaka i kawę, a potem międzystanową autostradą 81 pojechali w kierunku Scranton.

8

Pierwszych dwóch agentów FBI przybyło do Biblioteki Firestone'a o siódmej rano. Z sytuacją zapoznała ich uniwersytecka ochrona i policja miejska. Agenci obejrzelі miejsce przestępstwa i opowiedzieli się stanowczo za tym, żeby zamknąć bibliotekę do odwołania. Do Princeton jechali już śledczy i technicy z Trenton.

Rektor wrócił właśnie na kampus. Już wiedział, że coś zginęło, i miał za sobą bardzo ciężką noc. Natychmiast pobiegł do biblioteki, gdzie czekali na niego główny bibliote-

karz, agenci FBI i miejscowa policja. Razem podjęli decyzję, żeby jak najdłużej utrzymać sprawę w tajemnicy. Szef WOCA, wydziału FBI specjalizującego się w odzyskiwaniu cennych aktywów, był już w drodze z Waszyngtonu. Uważał, że złodzieje skontaktują się wkrótce z uniwersytetem, żeby dobić targu. Rozgłos, a nie ulegało wątpliwości, że byłby wielki, tylko skomplikowałby sytuację.

9

Świętowanie rozpoczęło się dopiero wtedy, kiedy członkowie gangu dotarli do małego drewnianego domku myśliwskiego w górach Pocono w północno-wschodniej Pensylwanii. Denny wynajął go na sezon myśliwski za pieniądze, które miał zwrócić po sprzedaży rękopisów, i mieszkał tam od dwóch miesięcy. Z nich czterech tylko Jerry miał stały adres; wraz ze swoją dziewczyną wynajmował małą kłitkę w Rochester w stanie Nowy Jork. Uciekinier Trey ukrywał się niemal całe dorosłe życie. Natomiast Mark pomieszkiwał ze swoją byłą żoną pod Baltimore, lecz robił to nieoficjalnie i bez śladów.

Wszyscy mieli po kilka fałszywych dowodów tożsamości, w tym paszporty, dzięki którym mogliby przejść przez każdą kontrolę celną.

W lodówce czekały trzy butelki taniego szampana. Denny otworzył jedną, rozlał trunek do czterech różnych kubków do kawy i wzniósł jowialny toast.